



Copyright © by Janusz Grabowski, Warszawa 2012  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2012

## PROLOG

Spokojnym, pewnym krokiem podszedł do biurka i oparł na nim dużą skórzaną torbę. W dawnych czasach podobnych używali lekarze lub akuszerki. Odpiął mosiężne skuwki. Nie spiesząc się, otworzył ją szeroko, wyjął dwa grube pliki banknotów i położył na blacie. Zapalił małą lampkę z zielonym abażurem i zaczął się im uważnie przyglądać.

Zawsze był dokładny. W pracy i w domu, w planowaniu i w realizacji. Szczególnie teraz nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Banknoty w pierwszym pliku były nieco większe i jakby bardziej nowoczesne. Ładny, błękitny kolor dwudziestek euro ozdobionych rysunkami jakichś witraży nie budził w nim jednak zaufania. Przeniósł wzrok na ciemniejsze dwudziestodolarówki z Jacksonem. Mimo że o wiele mniejsze, wydawały się dużo bardziej wyraziste. No tak, pomyślał, ten widok znany od dziecka jeszcze długo będzie dla nas bliższy i bardziej rozpoznawalny. To przecież o nich zawsze marzyliśmy, oglądając wystawy Pewexu.

Włożył z powrotem do torby plik euro spięty czerwoną gumką. Ale nie był to koniec porównań. Tym razem wyjął zawinięte w natłuszczony papier firmowy dwa młotki firmy Stanley. Jeden, lżejszy, czterystasześciodziesięciogramowy, był zwykłym młotkiem ślusarskim. Takim ze ściętym z jednej strony czarnym obuchem

ze stali węglowej i metalowym trzonkiem obciążonym miękką również czarną gumą. Długo ważył go w dłoni, potrząsał nim, starając się wyczuć go w ręku. Kilkakrotnie uderzył obuchem w lewą, lekko skuloną dłoń, jakby chcąc poczuć siłę uderzenia. Teraz ostrożnie wyjął drugi nabytek – typowy młotek ciesielski, o bardzo charakterystycznym obuchu. Z jednej strony zakończony dwoma nierównymi zębami, z których jeden wyglądał jak złamany, z drugiej zaś – lekkim wcięciem z magnesem do utrzymania wbijanych gwoździ w pozycji prostej. Trzonek narzędzia otoczony był żółtym nacinanym silikonem. Mimo nieco większej wagi, około sześciuset gramów, dużo lepiej leżał w ręce.

Wykonał parę uderzeń w lewą dłoń i pokiwał powoli głową – to ten. Ale jeszcze nie koniec, pomyślał. Wetknął obuch za pasek spodni, ostrożnie wyszukując miejsce na plecach. Pokierował dłońmi tak, aby trzonek wystawał i łatwo dawał się wyciągnąć prawą ręką. Poprawił się, stanął przed lustrem i szybko go wyciągnął. Udało się, i to bez żadnych problemów. Z cynicznym uśmiechem spróbował jeszcze raz. A potem już dla zabawy, jak na filmie, jeszcze parę razy. Był przecież perfekcjonistą.

Wziął do ręki wcześniej przygotowany zwitek dolarów i ruszył po schodach w dół. Kroki powinny być naturalne: równe i miarowe. Dlatego usiłował iść nie za cicho i nie za szybko. Miała go usłyszeć, zanim zdąży otworzyć drzwi do pralni.

Powoli przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Goła żarówka oświetlała małe wykafelkowane pomieszczenie. Po lewej stronie znajdowały się pralka, suszarka oraz zlewozmywak ze stali nierdzewnej. Po prawej koszykowe pojemniki na pranie. Jej łóżko połowe przykryte kracjastym kocem stało pod drugą ścianą. Siedziała na nim skulona. Podnosząc powoli głowę, przyglądała mu się uważnie. Z ładnej twarzy emanował lęk.

Uśmiechnął się do niej z przymusem. Niczym w geście przeprosin wyciągnął przygotowany zwitek pieniędzy. Zdumiona i nagle osmielona patrzyła na zielone banknoty jak zaczarowana. Widok pieniędzy zupełnie ją odmienił. Nie odwracając od nich wzroku, wyciągnęła przed siebie rękę i zaczęła wstawać. Widziała tylko pieniądze.

Uderzenie w głowę było nagłe, mocne i śmiertelne. Nie uważała zdecydowanego ruchu prawej ręki uzbrojonej w młotek wyciągnięty bezszelestnie zza paska spodni. Nadal miała w oczach zieleń wymarzonego raj. W ciszy osunęła się bezwładnie na białe kafelki.

Zlekceważyła mnie, pomyślał trochę zawiedziony. Szmal i tylko szmal, kiwnął lekko głową, a przecież taka miała być święta. Delikatnie, ale rytmicznie poruszał młotkiem w górę i w dół. Potem z wysiłkiem oswobodził obuch ze sklejonych masą mózgową kości skroni. Położył go obok głowy dziewczyny. Popatrzył na leżące ciało. Trochę było mu jej żal, ale tak przecież musiało się stać.

Włożył pieniądze do kieszeni spodni i wyszedł, zamykając pralnię na klucz. Teraz potrzebował powietrza i światła, i chociaż krótkiej chwili odprężenia; miał przecież jeszcze tyle pracy.

Wrócił po prawie czterech godzinach, ciągnąc za sobą duży plastikowy pojemnik na kółkach. Najczęściej używano ich do wywozu śmieci. Służyły także brygadam budowlanym do usuwania odpadków. Spod pachy wyjął rulon dużych niebieskich worków foliowych. Włożył gumowe rękawiczki i zbliżył się do denatki.

Głowa dziewczyny spoczywała w kałuży ciemnej krwi. Blond włosy silnie kontrastowały z krwistoczarnym podłożem. Zaczął od systematycznego rozpinania guzików bluzki, którą zdołał wzorek z drobnych kwiatków. Nie szło mu to sprawnie. Trudno było chwycić małe okrągłe guziki palcami w gumowych rękawiczkach. Wreszcie nie wytrzymał – wyjął nóż do tapet i pociął całe ubranie.

Teraz wszystko szło dużo łatwiej i po paru minutach była już całkowicie naga. Przesunął ciało i oparł o ścianę. Wyglądało, jakby siedziała i odpoczywała. Skrawkami ubrań wytarł miejsce, w którym przed chwilą znajdowała się głowa. Potem zakrwawione strzępy wrzucił razem z papierami do jednego z przyniesionych worków. Drugi założył na głowę i ciało dziewczyny. Po chwili tylko zgrabne nogi wskazywały, co kryje się w niebieskim plastiku.

Przykucnął, opierając jedną rękę na głowie, i wysunął dalej ostrze noża. Miarowo, bez pośpiechu zaczął nacinać folię na głębokość paru centymetrów. Ciął zarówno korpus, jak i twarz. W niektórych miejscach folia przylegała do ciała tak ściśle, że widać było jedynie plastik i rozstępujące się krwawe rany.

Ale mi wyszło, całkiem surrealistyczne dzieło, pomyślał, zupełnie jakby to folia krwawiła. Kiedy korpus był już pocięty, zaczął zadawać rany kłute, ale nóż pozostawiał wąskie, dwucentymetrowe nacięcia. Przerwał już po kilkunastu próbach.

Kończąc ten niemal rytualny obrządek, wstał i z westchnieniem ulgi rozprostował kolana. Z wystudowanym spokojem rozmontował nóż. Plastikową część wrzucił do worka z ubraniami. Po chwili odpoczynku ściągnął pocięty i zakrwawiony worek, by uważnie przyjrzeć się ciału. Tak, to było to, czego oczekiwał, wynik był naprawdę przejmujący. Wyciągnął z kieszeni komórkę i zrobił parę zdjęć. Z uwagą obejrzał obraz utrwalony na wyświetlaczu. No tak, to jest naprawdę coś, pomyślał, chowając telefon do kieszeni.

Plastikowy pojemnik położył na boku, a następnie wsunął do niego zakrwawione ciało. Postawił go ponownie w pionie i zamknąwszy klapę, ustawił przy drzwiach. Rozebrał się do naga i zabrał za sprzątanie. Koc z polówki i swoje ubrania dołożył do worka z rzeczami, które zamierzał spalić.

Zmęczony, lecz w końcu gotowy, wziął długi prysznic, używając dużej ilości mydła i szorując ciało twardą szczotką ryżową. Jakby się chciał oczyścić ze wszystkiego, nawet z popełnionej zbrodni. Wytarł się i włożył czyste ubranie. Następnie zapakował worki i pojemnik do pikapa.

Plastikowy pojemnik starannie umocował pasami, aby się nie przewrócił w czasie jazdy. Tak przygotowany ruszył w kierunku Doliny Radości, wjeżdżając głęboko do lasu. Zatrzymał się na końcu szutrowej drogi. Była tam pusta polana, na której harcerze robili latem biwaki i obozy.

Miejsce przeznaczone na ognisko dostrzegł z daleka. Otoczone kamieniami, pełne było popiołu i niedopalonych gałęzi. To tutaj chciał spalić ubrania. Nazbierał gałęzi, chrustu i dołał trochę benzyny, aby uniknąć problemów z rozpalką. Kiedy ogień palił się już na dobre, rozejrzał się jeszcze raz dookoła i wyjął worek z samochodu. Jak przypuszczał, plastik zajął się natychmiast, ale już po chwili także ubrania paliły się ostrym płomieniem.

Ściemniało się, ale on miał dużo czasu. Dorzucił więcej gałęzi, aż ogień zaczął trzaskać. Z zatłuszczonego papieru śniadaniowego wyjął kielbasę wyborczą i zaczął ją ostrożnie grillować. Około dwunastej płomień zaczął przygasać. Wstał, przeciągnął się i grzebiąc z uwagą w żarzących się resztkach świeżo złamanym konarem, szukał niedopalonych resztek ubrań. Bez skutku, ogień pochłonął wszystko.

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Starej Oliwy. Minął park i pętlę tramwajową, po czym skręcił w lewo. Jechał Grunwaldzką w kierunku Gdyni. Nie zatrzymując się w Sopocie, dotarł do Kolibek, gdzie nie było zabudowy, a i ruch o tej porze panował niewielki. Przystanął, nie wyłączając silnika, zsunął młotek i ostrze noża do studzienki kanałowej. Zostało mu jeszcze pozbycie się ciała.

Ależ to dopiero będzie znalezisko, sensacja wielka jak prawdziwe wodowanie, pomyślał, uśmiechając się z zadowoleniem. Muszę jeszcze dokładnie wyczyścić plastikowy pojemnik, postanowił. Od dawna wiedział, dokąd go później wywiezie.

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### 1

Nadkomisarz Ewa Wichert lubiła wiosnę, lubiła też wczesne poranne bieganie. Bulwar Nadmorski w Gdyni był idealnym miejscem. Biegnąc w dół aleją Marszałka Józefa Piłsudskiego, minęła Dom Marynarza i skręciła nad falujące morze. Miało metaliczny kolor rtęci i nikt nie odważyłby się nazwać wybrzeża szmaragdowym. Nasze morze jest szare, pomyślała, nawet harcerskie piosenki o tym mówiły. Jak to szło? „Morze, nasze szare morze...”. Niech sobie będzie, jakie chce, zdecydowała, i tak je kocham.

Przypieszyła, próbując biec w rytm słuchanej piosenki. Don Henley i jego *Dirty Laundry* świetnie się do tego nadawały. A właśnie ten utwór dobiegał z białych słuchawek podłączonych do ukochanego iPod'a. Zawierał całą znaną jej muzykę i był czymś więcej niż samograjem – stanowił przenośną kronikę jej życia.

Wdychając pełne jodu powietrze, biegła bulwarem, kierując się jak zwykle w stronę Kontrastu. Uwielbiała to miejsce. I rozczułała ją myśl, że bulwar jest jej rówieśnikiem. Oddany do użytku w czasie obchodów Dni Morza w 1969 roku, stanowił dzieło prawie dziesięcioletnich zmaganiań, wynik ciężkiej walki Społecznego Komitetu Budowy Bulwaru Nadmorskiego. Niewiele osób wie, że nosi imię Feliksa Nowowiejskiego, podobnie jak niewielu zna dzieła zmarłego w 1946 roku w Poznaniu twórcy *Legendy Bałtyku*.

Chciała utrzymać formę i wagę, dlatego starała się biec szybko. Choć należała do kobiet znających swoją wartość, gdzieś w środku czaił się niepokój. Wiedziała, że podoba się mężczyznom, i to w różnym wieku. Mimo to jakoś nie mogła znaleźć interesującego partnera. Wierzyła jednak, że wreszcie się uda i nie będzie to ktoś w rodzaju nadbiegającego właśnie pięćdziesięciolatka, który na widok jej równo falujących piersi potknął się i o mało nie przewrócił.

Popatrzyła na niego z wyższością. Tak, zdecydowanie warto było wydać siedemdziesiąt euro na ten biustonosz. Utrzymywał wszystko na właściwym miejscu, nawet przy szybkim biegu. A nie chodziło o jakąś miękką czwórkę, powstałą w wyniku otłuszczenia. Biust był ciężki, ale prężny, sutki małe, ale twardniejące na zimnie. Taki piękny dar od niebios, pomyślała zadowolona, biegnąc dalej.

Miała na sobie jasnoniebieski dres Kappa i białe buty do biegania Nike'a. Jej szczupła, ale zdecydowanie kobieca sylwetka w połączeniu z burzą czarnych włosów mogła wytrącić z równowagi każdego biegacza. Mimo wczesnej pory na budzącym się do życia bulwarze było ich już całkiem sporo. Większość wyprowadzała czworonożnych przyjaciół, wszystkich możliwych ras i maści.

Znała tych ludzi, prawdziwych psiarzy, od dawna. Dzielili się na dwie grupy. Jedni wyprowadzali swoje pociechy jakby z musu. Chodziło przede wszystkim o potrzeby fizjologiczne czworonogów, których trzeba było przypilnować. Drugą, zdecydowanie mniejszą grupę stanowili psiarze biegacze. Chcieli wykorzystać krótką poranną chwilę na poprawę swojej kondycji fizycznej, biegnąc lub jeżdżąc na rowerach obok swoich pupilów.

Wszyscy stanowili idealną ilustrację zasady upodabniania się właścicieli i psów. Gdy ludzie dreptali powoli, ich czworonożni

przyjaciele chodzili podobnie, z tą różnicą, że od czasu do czasu podnosili łapę za potrzebą. Spoglądali smętnie na swoich opiekunów, jak żywe wyrzuty sumienia. Gdy ludzie biegali, ich pupile podskakiwały, aportowały, często przy tym szczekając i wesoło machając ogonami.

Oprócz typowych psiarzy na bulwarze pojawiali się także tacy jak ona biegacze. Niektórzy uprawiali ten sport regularnie i tych znała z widzenia, więc wymieniali uśmiechy, kiedy się mijali. Resztę stanowili ci, którzy z mocnym postanowieniem biegania pokazywali się przez kilka dni i bezpowrotnie znikali.

Dobiegała już do Gdyńskich Rybek, rzeźby stojącej na początku plaży miejskiej. Spojrzała na zegarek – jej czas się kończył. Nie dotrę dzisiaj do Kontrastu, pomyślała, zawracając. Biegła teraz nieco szybciej. Muszę wrócić do domu, obudzić Aleksa, wziąć prysznic, zjeść śniadanie i wyruszyć do komendy.

Pod domem stanęła o szóstej czterdzieści pięć. Winda tym razem działała, więc Ewa bez namysłu weszła do środka. W ten sposób skróciła drogę na dziesiąte piętro o trzy minuty. Była w dobrej formie, często biegała po schodach, aby sprawdzić kondycję, ale teraz nie miała na to czasu. Przekręciła klucz w zamku.

– Aleksander, czy ty już wstałeś? – krzyknęła.

To były pierwsze słowa po wejściu do mieszkania. Zastanów się trochę nad sobą, pomyślała. Rozwódka, która ma problemy z wychowaniem syna, piękny obraz, tylko do gabloty. Chciała przecież jak najlepiej, czuła jednak podświadomie, jak bardzo chłopak potrzebuje ojca. Miał na przykład ogromne problemy z porannym wstawaniem. Bez względu, o której się położył spać: o ósmej, dwunastej czy szesnastej, problem był taki sam. Domyślała się, że na imprezach pije, a może nawet i popala, ale jak na razie nie udało się jej złapać go za rękę. Ładna z ciebie policjantka, która

nie wie, co syn robi z kolegami. A mimo to nie potrafiła zdobyć się na szpiegowanie własnego dziecka.

– Młody, wstawaj! – krzyknęła głośniej, wchodząc do pokoju chłopaka.

Trudny do zrozumienia pomruk niemal nieprzytomnego małolata oznaczał przyjęcie komendy. Gorzej było z jej wykonaniem. Co mogą zrobić, aby go porządnie wychować? Jego ojciec, a jej były mąż Leszek, często zapewniał ją, że kiedy Aleks przebywa u niego, problem wstawania nie istnieje, a jedynym prawdziwym kłopotem jest dowożenie chłopca do szkoły. No, ale jak się ma praktykę weterynaryjną i mieszka w oddalonym od centrum Chwaszczynie, to trzeba się z tym liczyć, pomyślała złośliwie.

Rozwód, mimo braku orzeczenia o winie, nadal był dla niej powodem gorzkich wyrzutów sumienia, choć skandynawski model wychowania po rozstaniu, oparty na równym podziale obowiązków, jakoś funkcjonował. Czas opieki udawało im się dzielić w miarę równo, głównie dzięki temu, że rozstali się po przyjacielsku.

Kiedy z nową żoną i dziećmi Leszka spotykali się razem w święta, bywało nawet przyjemnie. Niestety, coraz częściej czuła, że potrzebuje czegoś więcej. Czegoś lub raczej kogoś, tak po prostu dla siebie. Stanowczo nie była stworzona do samotnego życia. Czy ja nigdy nie znajdę faceta, który mi się spodoba? Może jednak po prostu przesadzam i wcale nie jestem taka zła, rozważała, szukając pociechy. Może ten ślub z Leszkiem wzięliśmy za szybko i wcale do siebie nie pasowaliśmy?

No, ale na pewno nie jestem taka jak moja siostra Małgosia, pocieszała się dalej, ona nie mogła żyć bez mężczyzn. Zabierała wszystkim przyjaciółkom mężów i kochanków, nie robiąc żadnych wyjątków. Niczym modliszka ściągała ich zainteresowanie, uzależniała dzięki swym wyjątkowym talentom w łóżku i po upływie

paru tygodni całkowicie już przeżytých porzucała. Przyjdzie jednak i na ciebie czas, siostrzyczko, stwierdziła, uważnie patrząc w lustro, po czym weszła pod prysznic.

## 2

Kapitan Jussi Nistolajnen od godziny nerwowym krokiem przecha-dzał się po mostku. Jego prom M/V „Finnsvalla” miał już prawie dwanaście godzin opóźnienia. Nienawidził takich sytuacji, nawet usprawiedliwionych. To była pozostałość długich lat kariery woj-skowej. Spędził je na kutrach torpedowych patrolujących granice ze Związkiem Radzieckim.

Przez całą noc nie zmrużył oka. Przewracając się z boku na bok, czekał na telefon z maszynowni. Dopiero o czwartej rano chief zameldował, że usterka generatora została naprawiona. Nareszcie mogli wychodzić w morze. Pierwszy oficer zadzwonił do UNIPIL-u zamówić pilota. Po kolejnej godzinie usłyszał w krótkofalówce oczekiwany głos pierwszego oficera: „Pilot jest już w windzie”.

I rzeczywiście po paru minutach starszy pilot Stanisław Chu-dzikiewicz był już na mostku. Mocno ucisnął rękę kapitana. Wiedział o jego kłopotach i szczerze mu współczuł. Podobnie jak Fin nienawidził spóźnień.

Maszyna była już włączona, a pracownicy portu rzucili cumy. Chudzikiewicz wyszedł na skrzydło mostku i wziął w dłonie ma-netki sterów strumieniowych. Czas zacząć odbijanie. Stali przy Nabrzeżu Rumuńskim, zwróceniu dziobem w kierunku wyjścia z portu. Prosta droga, żadnych niespodzianek. To wejście do portu bywało problematyczne, jeśli przy dużym wietrze musieli odwrócić ponaddwustumetrowy kadłub.

Odeszli od kei i przełączyli kierowanie na główny ster. Marynarz wachtowy, powtarzając komendy pilota, lekkimi ruchami koła sterowego prowadził statek. Z lewej strony widać było Stocznnię Marynarki Wojennej. Po chwili zza portu wojennego na Oksywiu ukazała się stara torpedownia. Zbliżali się do główek falochronu północnego, oznaczonych czerwoną i zieloną latarnią. Jussi siedział za pulpitem sterowniczym i uważnie śledził wskazania przyrządów. Patrząc w kierunku Helu, dostrzegł pomarańczowy kadłub pilotówki kołyszącej się na falach.

Kuter „Pilot-3” był ostatnim nabytkiem UNIPIL-u. Bardzo nowoczesny, zbudowany w Finlandii, miał prawie szesnaście metrów długości i klasę lodową. Był jednym z dwóch kutrów należących do spółki założonej w 1989 roku, kiedy dwudziestu sześciu pilotów postanowiło pracować na własny rachunek. Założone wówczas przedsiębiorstwo operowało obecnie dwoma kutrami.

Chudzikiewicz powoli szykował się do zejścia. Pożegnał kapitana i marynarzy na mostku. Razem z pierwszym oficerem ruszył do windy, aby dojechać do pokładu samochodowego. Tam znajdowała się furta, z której spuszczano drabinkę sznurową.

Mimo wielu lat doświadczenia i w miarę spokojnego morza z obawą spojrzął w dół. Od pilotówki dzieliło go jakieś pięć metrów. Ostrożnie, stopień po stopniu zaczął schodzić, aż dotarł do drabiny wantowej kutra. Doskonale pamiętał, że niecałe dwa lata temu właśnie tutaj w Gdyni zginął jego kolega, próbując dostać się na mostek M/V „Wilson Humber”.

Wszedł na pokład pilotówki i przywitał się z szyprem. Nie zwlekając, ruszyli w drogę powrotną, zostawiając „Finnsvalla” płynącego do Helsinek. Gdy mijali główkę falochronu wschodniego, wchodząc do Basenu Prezydenta, zwolnili. Wtedy poczuli uderzenie w dziób. Nie było gwałtowne, ale poczuli je bardzo

wyraźnie. Chudzikiewicz wyskoczył na pokład i za lewą burtą dostrzegł przesuwaną się nagie ciało.

– Zatrzymaj maszynę! – krzyknął do szypra.

Za rufą gwałtownie zabulgotało i kuter stanął w miejscu. Zwłoki kołysały się na powierzchni pięć metrów od rufy. Były napuchnięte, więc musiały przebywać w wodzie dłużej czasu. Mimo niedużej prędkości kutra w boku ciała pozostała głęboka dziura po zderzeniu. Żadnych śladów krwi, widać było tylko rozwarstwiającą się tkankę skórną.

Chudzikiewicz bez namysłu wziął do lekko drżącej ręki UKF-kę i wywołał centralę.

– Dzwoncie po policję i straż pożarną, w Basenie Prezydenta są zwłoki. Niech strażacy przyłyną pontonem, bo trzeba jakoś wyjąć je z wody – dodał. – Będziemy się tutaj kręcić, żeby statki Żegluga Gdańskiej całkowicie ich nie rozwalily.

Już po dziesięciu minutach usłyszał syreny samochodów policyjnych jadących aleją Jana Pawła II. Zatrzymały się przy samej kei. Kilku policjantów wysiadło i z odrazą zaczęło się przyglądać dryfującemu ciału. Niebieskie migające światła szybko ściągnęły pierwszych ciekawskich.

– Już ich tu przyniosło – rzucił starszy policjant.

Stali jednak nadal bez ruchu, gapiąc się i czekając na strażaków. Nie mogli nic zrobić. Na szczęście już po chwili pojawił się czerwony ponton Portowej Straży Pożarnej. Strażacy podpłynęli do ciała i długimi drewnianymi żerdziami zaczęli je przesuwac w kierunku kei. Usiłowali doholowac je do obniżonej części nabrzeża, żeby stamtąd łatwiej było przeniesć je na nosze. Aby nie uszkodzić skóry, działali ostrożnie i powoli. Po półgodzinie zwłoki kobiety leżały na noszach.

– Samobójstwo? – zapytał kolegę posterunkowy Grzelak, patrząc na długie szczupłe nogi i to, co zostało z blond włosów kobiety.

– Coś ty, Rychu, oszalał? Nago? To musiałyby być jakaś wariatka  
– odparł starszy sierżant Edel.

Przy pomocy strażaków odwrócili ciało na plecy. Grzelaka aż odrzuciło. Wzdęty brzuch, opuchnięte piersi, twarz, a nawet ręce pokryte były głębokimi fioletowymi ranami.

– Dzwon szybko po dochodzeniówkę – szepnął starszy sierżant do kolegi. – To musi być robota jakiegoś pojebanego zbrojnego  
– dodał z odrazą.

### 3

Oparta o kuchenny stół Ewa smarowała ciepłe tosty. Jak zwykle dwa dla siebie i cztery dla Aleksandra. Dopiero szklanka wylanej wody zmusiła go do wstania z łóżka. Leia, ich wyjątkowo rozpieszczona kotka, robiła ósemki między jej nogami. Pomrukując, chciała wymusić coś dobrego do zjedzenia. Ewa sięgnęła do lodówki po whiskas z kawałkami łososa w galaretkę.

– Poczekaj, Leiciu, mama zaraz da ci coś dobrego – mruknęła. Wtedy rozległ się głośny dzwonek komórki. – Cześć, Buła, co się stało? – zapytała, nakładając jednocześnie jedzenie kota do miseczki.

Podkomisarz Leszek Chlebowski pracował z nią jeszcze we Wrzeszczu. Znali się więc świetnie, a co najważniejsze, lubili razem pracować. Był dobrym policjantem. Może trochę za bardzo wzorował się na filmowych bohaterach, ale i tak w pełni mu ufała. Typowy mocno stąpający po ziemi glina, który lubił swój zawód, choć trudno byłoby go nazwać pracoholikiem. Razem z żoną Iwoną i dwoma synami mieszkali na Oksywiu.

– Mamy trupa w Basenie Prezydenta – powiedział krótko, nie bawiąc się w kwieciste opisy.

– No tak, ale skąd wiadomo, że to nie był wypadek... – zaproponowała.

– Nie, to na pewno nie był wypadek – syknął cicho, nie dając jej dokończyć. – To jest morderstwo i to wyjątkowe wstrętne – dodał już nieco spokojniej.

– No to nie ma na co czekać. – Włożyła komórkę do kieszeni. Wzięła do ust tosta i ruszyła w kierunku drzwi. – Aleks, wychodzę! – krzyknęła do zaspanego chłopaka. – Tylko, proszę, umyj dzisiaj włosy. Są już naprawdę za tłuste.

Windy jak zwykle nie było. Jak oni projektowali te domy, pomyślała. Jedna winda na dziesięciopiętrowy wieżowiec. Kompletny brak wyobraźni. Biegiem ruszyła po schodach. Po minucie była na dole. Dopadła do swojego ukochanego samochodu, białego fiata 500 z paskami włoskiej flagi przebiegającymi przez całą karoserię.

Ruch na Świętojańskiej już gęstniał. Dziesięć minut później była na „skwerku” – pomiędzy nabrzeżami Pomorskim, Wejściowym i Beniowskiego. Na miejsce dojechała dopiero po następnych dziesięciu minutach.

Z daleka dostrzegła tłum ludzi przy biało-niebieskiej taśmie, przy końcu Mola Południowego. Dokładnie: po jego lewej stronie, tam gdzie znajduje się aleja Statków Pasażerskich. Mało kto pamięta, że dzisiejsze żelbetowe moło powstało dopiero w 1935 roku, wcześniej było tu drewniane, jak w Sopocie czy Orłowie, używane przez białą flotę kursującą po zatoce.

Na miejscu dostrzegła Bułę, który rozmawiał z młodą kobietą. Była to Żaba, aspirant Aldona Żabińska, od niespełna trzech lat pracująca w ich zespole.

– Kto znalazł ciało? – zapytała, podchodząc do rozmawiających kolegów.

– Pilot. – Buła ruchem głowy wskazał mężczyznę stojącego na pokładzie zacumowanej przy kei motorówki.

– Zanim z nim pogadam, zastanówmy się na spokojnie. Czy jest coś jeszcze do zabezpieczenia? Mamy jasność, czy wzywamy tutaj patologa? – Spojrzała z uwagą na swój zespół.

Buła wzruszył ramionami.

– Co tu kombinować? Dla mnie to jakiś zbok i w dodatku nie z Wybrzeża. Mógł sobie tutaj przyjechać z tydzień temu. Jakaś kłótnia, bójka i wyrzucił ciało do basenu. Bo tutaj mógł podjechać samochodem bez zostawiania żadnych śladów, jest tylko asfalt i kostka.

– A dlaczego uważasz, że był przyjezdny? – zapytała Aldona.

– Bo myślał, że ciało nie wypłynie. Lokalny by wiedział, że wypłynie.

Odwróciła się w kierunku Aldony.

– A co ty o tym myślisz? – zapytała.

Aldona zawsze była precyzyjna. Stanowiła odwrotność Buły. „Ona jest zrobiona w Excelu, jak inżynier z politechniki”, mówił o niej czasami zgryźliwie podkomisarz. Pojawiła się w ich zespole świeżo po szkole, z głową nabitą nowymi teoriami, zawstydzając ich młodzieńczą energią.

– Dużo to my nie wiemy, ale nie jest to wypadek, a już na pewno nie samobójstwo – powiedziała. – Nikt siebie tak nie uszkodzi, to jasne. Ale czy akurat tu została wrzucona, tego nie wiadomo. Może są tu silne prądy, które przeniosły ciało. Dlatego uważam, że nie powinniśmy z góry obwiniać przyjezdnych – dodała, zerkając na Bułę. – Może ktoś chciał, aby ona właśnie tutaj wypłynęła.

Ewa popatrzyła na nich uważnie.

– W porządku. Ty, Buła, porozmawiaj z sierżantem, żeby zabrali ciało do Piotrka. Niech je dokładnie zbada. No wiesz, jaka była przyczyna śmierci, kiedy nastąpił zgon i tak dalej. Potem pój-

dziesz do Akwariium Morskiego, Akademii Morskiej i do tego Sea Towers. Zapytaj, czy mają jakieś kamery przemysłowe. Może dopisze nam szczęście i coś interesującego się nagrało. Żaba, a ty jedź do kapitanatu portu i zapytaj o te prądy i pływy. Może rzeczywiście ciało zostało wrzucone w jakimś innym miejscu? Widzimy się na komendzie – dodała i poszła obejrzeć zwłoki.

Ze zgrozą przyglądała się fioletowym ranom na ciele denatki. Podobnie głębokiej owalnej ranie na skroni. Kobieta była zupełnie naga i nie miała żadnej biżuterii. Ewa zwróciła uwagę na kawałek materiału na przegubie. Była to namoknięta biało-czerwona plecionka. Wyglądała jak dziecięca bransoletka z włóczki.

Pewnym krokiem ruszyła na pokład kołyszącej się pilotówki. Podeszła do stojących na rufie i zawzięcie dyskutujących mężczyzn.

– Jak to możliwe, że wpadliście na tego trupa? – zaatakowała z marszu.

– Po prostu. Nie widzieliśmy go – odpowiedział szyper. – Praktycznie nic, dosłownie nic nie wystawało ponad powierzchnię wody.

– A z jaką prędkością płynęliście? – zapytała podchwytliwie.

– Przecież kto jak kto, ale my wiemy, że w porcie jest ograniczenie do pięciu węzłów – odparł zmęczonym głosem Chudzikiewicz.

– No tak – przyznała – wy to na pewno wiecie. Dziękuję, że przypilnowaliście, żeby nikt inny nie wpadł na to ciało.

– To przecież normalny ludzki odruch. – Pilot wzruszył ramionami.

Może za rzadko spotykam normalnych ludzi, pomyślała.

– Mimo wszystko dziękuję – uśmiechnęła się pewnie zbyt nieśmiało jak na groźną policjantkę.

Poszła trapem na nabrzeże. Ciało pakowano do samochodu. Przygodni gapie, gorąco dyskutując, powoli się rozchodzili. Wiedziała, że już wkrótce zaczną kursować statki Żeglugi Gdańskiej,

wożąc pierwszych wiosennych turystów. Niebawem wszyscy zapomną o dramacie. Życie potoczy się dalej.

4

Buła ciężkim krokiem wchodził po kamiennych schodach Akwarium Gdyńskiego. Dopiero od 1971 roku działało w dawnym budynku Stacji Morskiej. Wyremontowane w 2003, pyszniące się modernistyczną szklaną kopułą, niewiele miało wspólnego z dawną skromną placówką muzealną, której zbiory składały się z okazów zbieranych prywatnie przez pracowników Instytutu Rybackiego i podarunków kapitanów i marynarzy polskiej floty. Obecnie można było tu podziwiać nie tylko ryby, ale także wielkie węże – na przykład zielone anakondy zamknięte w akwaterrariach, i pogłaskać pływające ryby w mokrej sali, ale Buła nie miał ochoty na zwiedzanie i głaskanie. Pochylony nisko jak stary zmęczony człowiek podszedł do kas biletowych.

– Normalny czy ulgowy? – zapytała kasjerka.

Wyciągnął odznakę policyjną i bez słowa podetknął ją pod nos kobiety.

– Ja nie do ryb i do węży – odparł spokojnie. – Chcę do kogoś z dyrekcji.

Kobieta sięgnęła po słuchawkę i przeprowadziła krótką nerwową rozmowę. Już po paru minutach uchyliły się drzwi z dużym napisem BIURA MUZEUM i wyszedł z nich szpakowaty jegomość w okularach z grubymi szklami.

– Stefan Tymiński, kustosz akwarium – przedstawił się, lekko sepleniąc. – Proszę do mnie, panie podkomisarzu – dodał, prowadząc gościa do swojego gabinetu.